Nr. 11 | Należ. poczt. opłac. ryczałtem | We Lwowie, listopad 1926 | Rok XLVII

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

KALENDARZ ŁOWIECKI W listopadzie wolno polować na wszelką zwierzynę łowną.

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 6 złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 2·50 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 90 zł, 1/2 str. 50 zł, 1/4 str. 30 zł, 1/8 str. 15 zł, 1/16 str. 10 złp., 1/32 str. 5 zł. -- Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50 % drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p. (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiej Spółki Myśliwskiej ul. Lindego 9, w godz. 12—1. — Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. P. K. O. Konto Nr. 145.839. Telefon Nr. 18-59.

Pamiętajmy o ofiarach na ołtarz św. Huberta!

Prosimy usilnie członków naszych o dalsze ofiary na dokończenie kaplicy św. Huberta!

W dniu 3. listopada, w dzień św. Huberta, przed Jego ołtarzem, o godzinie 9-tej rano, odbędzie się staraniem M. T. Ł. uroczysta Msza św. w Kościele św. Elżbiety we Lwowie. Członkowie nasi zamieszkali we Lwowie zechcą wziąć udział gremialnie w oddaniu czci św. Patronowi Łowiectwa.

Do członków i delegatów Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego zamieszkałych w Województwie krakowskiem.

W jesieni r. 1924. powstało w Krakowie Towarzystwo Łowieckie Województwa Krakowskiego, obecnie Zachodnio-Małopolskiem się mianujące.

Jakkolwiek genezą powstania tego nowego Towarzystwa był, między innemi, ostry konflikt pewnej grupy krakowskich myśliwych z naszymi delegatami krakowskiemi, na tle zamknięcia polowania w powiecie krakowskiem, w r. 1924/25 to jednak nie występowaliśmy przeciw temu Towarzystwu nigdy nieprzyjaźnie, zwłaszcza, żeśmy żywili nadzieję, że Towarzystwo to zrozumie wkrótce dewizę „w jedności siła“ i z nami współdziałając, stanie się kiedyś potężną dźwignią stosunków łowieckich w odnośnej części kraju, względnie Państwa.

Niestety te nasze rachuby nas zawiodły i tu winniśmy naszym członkom i delegatom wyjaśnić, że szczere nasze usiłowania współpracy z Towarzystwem Krakowskiem nie wydały dotąd pożądanego rezultatu, a to mimo kilku konferencji oficjalnie lub półoficjalnie z delegatami tego Towarzystwa lub z osobami na jego czele stojącymi odbytych. Proponowanej bowiem przez nas fuzji obu Towarzystw, w tem znaczeniu, by Towarzystwo Krakowskie wraz ze swymi członkami tudzież z naszymi członkami i delegatami, okręg Województwa krakowskiego zamieszkującymi, przemieniło się w Oddział naszego Towarzystwa, Towarzystwo Łowieckie Województwa Krakowskiego nie przyjęło, mimo, żeśmy zaproponowali zupełną autonomję tego Oddziału, mającą się objawić w samoistnem reprezentowaniu tamt. łowiectwa wobec władz państwowych, w przyjmowaniu członków do M. T. Ł. i w mianowaniu delegatów w Województwie krakowskiem, z mocą całe M. T. Ł. obowiązującą i mimo, żeśmy zapewnili kierownictwo tym oddziałem Towarzystwa osobom dziś na czele Towarzystwa Krakowskiego stojącym tudzież ofiarowali godność wiceprezesa M. T. Ł. każdoczesnemu Prezesowi projektowanego Oddziału krakowskiego.

Wprawdzie Towarzystwo Łowieckie Województwa Krakowskiego zaproponowało ze swej strony, by delegaci naszych Towarzystw działali w imieniu obu Towarzystw, pomijając jednak, że takie działanie dwóch Towarzystw ściślej ze sobą nie związanych na jednym terenie, musiałoby wywołać chaos i być nieraz w przyszłości powodem niemiłych tarć i zajść, to w każdym razie nie mogliśmy się zgodzić na stawiany przez Towarzystwo Krakowskie warunek eksterytorjalności, w tem znaczeniu, byśmy się nietylko zrzekli czynnej propagandy na naszą korzyść w ziemi krakowskiej, ale nawet byśmy osoby do nas dobrowolnie się zgłaszające, odsyłali do Towarzystwa łowieckiego Województwa krakowskiego, wskazując im, że tylko tam jest dla nich miejsce. Do takiego załatwienia sprawy nie wolno nam było dopuścić, bo nie wolno nam krępować woli naszych członków do nas należących, ani woli ich synów i wnuków, z mocy tradycji rodzinnych do nas lgnących.

Ponieważ obecnie dochodzą nas wieści, że Towarzystwo Łowieckie Województwa Krakowskiego, obecnie Towarzystwem Łowieckiem Zachodnio - Małopolskiem nazwane, zwraca się do naszych delegatów z propozycjami przyjęcia delegatur z jego mandatu w powiatach tamtejszych, przeto oznajmiamy naszym członkom i delegatom w Województwie krakowskiem zamieszkałym, że propozycje te są im czynione bez porozumienia się z nami, a powtóre, że nie jest bynajmniej naszym zamiarem z terenu naszej pięćdziesięcioletniej działalności ustąpić.

Wzywamy przeto naszych członków i delegatów w ziemi krakowskiej zamieszkałych, by samowolnie sztandaru nie opuszczali, lecz by owszem nadal ze swemi życzeniami w sprawach tamt. stosunków łowieckich do nas z zaufaniem się zwracali, przysparzali nam członków, wskazywali na braki i luki w naszych tamtejszych delegaturach powstałe, pamiętając o tem, że tylko największem zgodnem skupieniem się łowców całej Polski, uratować możemy nasze łowiectwo od zagłady coraz to poważniej mu grożącej.

Za Wydział Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego

Dr. Alfred Sander *Juljusz hr. Bielski*
prezes.



SEWERYN KROGULSKI

PÓŁ WIEKU!

Ciąg dalszy

Obfity plon Towarzystwu naszemu przyniosła energiczna praca jego Wydziału w okresie czasu od 16-go czerwca 1905 do 16 czerwca 1906 roku.

Na Walnem Zgromadzeniu członków Towarzystwa w połączeniu z X-tym Zjazdem łowieckim, w dniu 2-go lipca 1906 r., prezes Stanisław hr. Stadnicki zagaiwszy obrady, stwierdza przedewszystkiem, że „pod względem finansowym, który jest *nervus rerum* każdej instytucji, stoimy świetnie. Zawdzięczyć to musimy w pierwszej linji wiceprezesowi naszego Towarzystwa p. Sewerynowi Krogulskiemu, który prowadzi całą akcję urzędową, który o rozwój Towarzystwa stara się rzeczywiście bez wytchnienia, który czyni wszystko aby Towarzystwo wyłącznie własnemi funduszami istniało i niezawiśle mogło spełniać swoje doniosłe zadanie".

Następnie podaje do wiadomości Zjazdu, że najdonioślejszego znaczenia pracą, której Wydział Towarzystwa w okresie tym dokonał — była w dalszym ciągu reorganizacja delegatów Towarzystwa. Jakkolwiek dużo jeszcze powiatów i okręgów sądowych zwleka z wyborem przewodniczących i z zreformowaniem placówek delegackich w myśl projektu dr. Stanisława hr. Mycielskiego, to wszakże dzięki temu, co już dokonano, zadzierżgnięty został silny węzeł między Wydziałem a członkami Towarzystwa, który łączy obie strony we wspólnej pracy nad coraz pomyślniejszym rozkwitem naszego łowiectwa.

Dodatnie wyniki tej akcji ujawniają się w tem, że skutkiem mianowania 404 delegatów i pozyskania 169 nowych członków, Wydział bardziej skutecznie niż dotychczas może czuwać nad przestrzeganiem postanowień ustawy łowieckiej.

Z uznaniem też stwierdza prezes zwiększoną wśród delegatów gorliwość i pilność w spełnianiu obowiązków statutowych i regulaminowych. Na podstawie 104 orzeczeń w tym okresie, Wydział przedstawił Namiestnictwu 38 spraw dotyczących odstrzału jeleni, łań i siut.

Co się tyczy postulatów przez ostatni Zjazd Wydziałowi do załatwienia poruczonych, to brał on je wszystkie pod rozwagę i starał się jaknajlepiej je załatwić.

I tak: W sprawie wniosku delegata Kazimierza Wysockiego o plombowanie zwierzyny na sprzedaż wysyłanej, wniósł Wydział memorjał do Namiestnictwa i jest uzasadniona nadzieja, że sprawa ta po myśli wnioskodawcy i Walnego Zgromadzenia załatwioną zostanie.

Sprawa urządzenia przez Towarzystwo ławy zwierzyny na targu lwowskim, została już przez dra Miziewicza opracowana, lecz schodzi z dzisiejszego porządku dziennego z powodu niemożliwości przybycia na posiedzenie jej referenta.

Jedynie sprawa słownictwa łowieckiego pozostała niezałatwiona. Komitet dla opracowania tego przedmiotu, acz ukonstytuowany, nie przystąpił dotychczas, niestety, do wyboru przewodniczącego — w miejsce zmarłego Leopolda hr. Starzeńskiego. Wszelakoż Wydział usilnych dołoży starań, ażeby tę, tak ważną sprawę, naprzód posunąć.

W dalszem przemówieniu prezes porusza sprawę kodyfikacji ustawy łowieckiej, przyczem gorące wyraża podziękowanie dr. Władysławowi Sołowijowi za świetne opracowanie dotyczącego memorjału, który wniesiono już do Sejmu i w osobnych egzemplarzach doręczono przez deputację — w osobach całego prezydjum Towarzystwa — marszałkowi i namiestnikowi kraju. (Brawa i oklaski).

Skończywszy przegląd spraw, któremi się Wydział zajmował, w poważnych słowach prezes podnosi zasługi oddane Towarzystwu łowieckiemu przez J. E. dr. Witolda Korytowskiego, który jako długoletni prezes Komitetu strzelniczego wielkim wpływem swoim wyjednywał zawsze u komendantów korpuśnych m. Lwowa pozwolenie na urządzanie popisowego strzelania na Strzelnicy wojskowej. Bez jego pośrednictwa idea urządzania Zjazdów łowieckich, tak niezmiernie dodatniego dla spraw naszych czynnika — nigdy nie dałaby się urzeczywistnić. „Dlatego jedynym sposobem okazania mu naszej czci i wdzięczności jest zamianowanie go członkiem honorowym naszego Towarzystwa. Imieniem więc Wydziału pozwalam sobie panom ten wniosek przedłożyć i proszę, żebyście go panowie przez aklamację uchwalić raczyli". (Brawa i oklaski).

Wkońcu prezes podaje do wiadomości, że w tym czasie zmarli (zebrani powstają) następujący członkowie naszego Towarzystwa: Kazimierz hr. Łubieński, Stanisław hr. Dzieduszycki, Stanisław Przybyłowski, Edmund Hiolski, Kazimierz Rojowski, Witold Romanowski, Juljusz Sigler-Eberswald, Włodzimierz Zagórski i Stefan Janowski.

„Panowie przez powstanie uczciliście ich pamięć, co znajdzie wyraz w protokole dzisiejszego Zgromadzenia".

Następnie przystąpiono do porządku dziennego.

Protokół ostatniego Walnego Zgromadzenia, sprawozdanie Komisji rewizyjnej z zamknięcia za r. 1905,— które wykazało czysty dochód w kwocie 5.448 K.—, tudzież preliminarz na r. 1906 zatwierdzono bez dyskusji.

Poczem wiceprezes Sew. Krogulski odczytuje sprawozdanie z czynności Wydziału, z którego wynika, że sprawa reorganizacji delegatów dużo Wydziałowi przysporzyła żmudnej pracy. Trzeba było szereg kilkagodzinnych odbyć posiedzeń, mnóstwo przewertować skorowidzów, schematyzmów i ksiąg adresowych, trzeba było 1800 wysłać listów, aby się dowiedzieć, gdzie i komu odpowiedni powierzyć mandat.

Dotychczasowe jednak wyniki tej ciężkiej pracy są stanowczo za skąpe. Częste nawoływanie w „Łowcu",

aby ogół myśliwski we własnym interesie ułatwiał Wydziałowi ostateczne spełnienie tego zadania — za mało spotyka się ze zrozumieniem jego celowości.

Wobec tego sprawozdawca zwraca się do obecnych, z gorącą prośbą, ażeby ideę reorganizacji delegatów w całym kraju jaknajżarliwiej żywem propagowali słowem, które skuteczniej działa, niż pisane lub drukowane.

Przy tej sposobności dotknął mowca kwestji słownictwa łowieckiego, ubolewając nad brakiem zapału u wybranego Komitetu do podjęcia tej zajmującej i użytecznej pracy, mającej na celu uzupełnienie i wzbogacenie polskiej terminologji łowieckiej wyrazami odpowiadającemi wymogom ducha czasu teraźniejszości, by w ten sposób stworzyć skończoną całość.

Smutny to objaw pod tym względem również i u myśliwych naszych, którzy zamiast obmyśleć właściwy wyraz swojski dla nazwania danego przedmiotu, dopuszczają się raczej zbrodni każenia mowy ojczystej wstrętnemi dziwolągami, obcemi nam brzmieniem i pochodzeniem, dając im świadomie a niepotrzebnie prawo obywatelstwa.

Czy to nie wstyd ?!

Poczem mowca oświadcza, że celem ruszenia tej kwestji z punktu martwoty — redaktor naszego organu odniósł się do redaktora „Łowca Polskiego“ w Warszawie — p. Jana Sztolcmana, jako do męża pod tym względem zwszechmiar kompetentnego, znakomitego przyrodnika i znawcy terminologji łowieckiej.

Z odczytanej przez mowcę odpowiedzi p. Sztolcmana wynika, że tenże: „pisze się chętnie na wspólną pracę w tej ważnej sprawie i ma nadzieję, że po porozumieniu się z osobistościami w językoznawstwie kompetentnemi, rychło już do dzieła przystąpić będzie można“.

W uzupełnieniu przedłożonego Walnemu Zgromadzeniu drukowanego sprawozdania oznajmia referent, że w miesiącu styczniu 1906 r. dokonaną została stabilizacja Alberta Mniszka na stanowisku redaktora „Łowca“.

Po wybraniu na wniosek wiceprezesa Krogulskiego członkami Wydziału ponownie dr. St. Miziewicza i Antoniego Goralczyka, zastępcami zaś: dr. Pawła Mazurka (ponownie) i dr. Tadeusza Goreckiego w miejsce radcy dworu Jerzego Piwockiego, który dla braku czasu mandat swój złożył — nastąpiła dyskusja w sprawie dalszego rozwoju Klubu hodowli i tresury psów myśliwskich.

Do ostatniego punktu porządku dziennego t. j. do wniosków członków, zabrał głos delegat Henryk Prek i poruszył dawną sprawę urządzania corocznie — podczas Zjazdów Towarzystwa — wystawy wieńców jelenich i rogów sarnich.

Po wyczerpującej nad tą sprawą dyskusji, w której zabierali głos St. hr. Stadnicki, J. hr. Bielski, Tad. Czarkowski-Golejewski, St. Matkowski, A. Mniszek, Linderski i Krogulski — wybrano na wniosek dr. Wł. Sołowija Komitet organizacyjny z 7-miu członków.

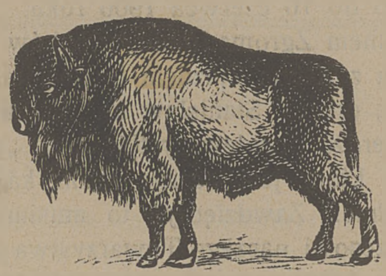
Pod przewodnictwem Juljusza hr. Bielskiego weszli doń H. Prek, S. Krogulski, Edm. Rylski, Tad. Kownacki, A. Mniszek i hr. Sumiński.

Na tem porządek dzienny został wyczerpany.

W strzelaniu X Zjazdu — mimo pory dżdżystej — udział członków i gości dość liczny.

Nagród rozdano 17-cie, z których po trzy zdobyli członkowie Tow. Henryk Prek i Marjan Hamerski.

C. d. n.



„ŁOWIEC POLSKI“

Kongres międzynarodowej Ligi Ochrony Żubra w Wiedniu

W dniach 3 i 4 września r. b. odbył się doroczny Kongres Międzynarodowej Ligi Ochrony Żubra, w sali posiedzeń Wiedeńskiego Muzeum Nauk Przyrodzonych (b. Hoffmuseum). Ogółem zebrało się na ten zjazd 44 delegatów, reprezentujących przedewszystkiem Niemcy, a pozatem Holandję, Szwecję, Szwajcarję, Austrję, Węgry, Rumunję i Polskę. Nasz kraj reprezentowało trzech delegatów. a mianowicie, z Poznania przybył p. Szczerkowski, dyrektor Zoologicznego Ogrodu w Poznaniu, nadleśniczy pan Meyer z Kobiór (Pszczyna) od ks. Pless'a, oraz niżej podpisany jako delegat Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Oprócz tego w Kongresie wziął udział bawiący wówczas w Wiedniu dr. Antoni Wagner, dyrektor Polskiego Państwowego Muzeum Przyrodniczego w Warszawie. Z innych nazwisk wymienić należy pomiędzy uczestnikami następujące osoby: dr, Riedl z Muzeum Wiedeńskiego, dr. Antonius, dyrektor Ogrodu Zoologicznego w Schönbrunnie, dr. Priemel, dyr. Ogrodu Zoologicznego w Franfurcie nad Menem, dr. Kimper z Rotterdamu, dr. Hoffman i p. Wendnagel z Bazylei, radca tajny Heck, dyrektor Ogrodu Zoologicznego w Berlinie, dr. Reinschmidt z Budapesztu i wielu innych.

Posiedzenie zagaił jako gospodarz dr. Riedl. witając przybyłych gości, poczem zdał przewodnictwo dr. Priemelowi, jako prezesowi Ligi. Przy stole prezydjalnym zastedli ponadto: pani Erna Priemel, jako sekretarka, dr. Pohle, skarbnik i p. von der Groebe, prowadzący księgę rodowodową żubrów.

Dr. Priemel, wymieniwszy ważniejszych uczestników Kongresu, zdał sprawę z działalności Ligi za ubiegły rok, z czego okazało się, że to zrzeszenie rozwija się pomyślnie. Uczczono przez powstanie pamięć zmarłych w ciągu roku członków, pomiędzy którymi ubyli: znakomity malarz zwierząt Kuhnert i znany specjalista z dziedziny ssaków, Matschie, dyrektor Berlińskiego Muzeum Zoologicznego. Następnie dyrektor Antonius wygłosił z pamięci obszerny referat o hodowli żubrów w Schönbrunnie.

Na tej sesji przedpołudniowej sporo czasu zajęły niektóre zmiany w Statucie Ligi, między któremi wymienić należy Statutowo zagwarantowane wydawnictwo „Przeglądu" Ligi, która to publikacja będzie wychodziła zeszytami trzy razy do roku: pierwszy w styczniu, zawierający zbiór sprawozdań, drugi — w kwietniu obejmie przegląd z całego roku, a trzeci — w czerwcu mieścić będzie oryginalne prace o rodzajach *Bos i Bison.*

Przeprowadzone wybory powołały do prezydjum te same osoby, które zajmowały odpowiednie urzędy w roku ubiegłym. Wprawdzie dr. Priemel wymawiał się brakiem czasu, jednak Kongres uprosił go, aby nadal piastował mandat prezesa Ligi. Na propozycję jego postanowiono zwołać przyszły Kongres Ligi do Budapesztu.

Bardzo długą dyskusję wywołał wniosek p. von der Groebe, aby z hodowli żubrów wyeliminować wszelkie mieszańce, co zresztą jest niezbędne, jeśli chcemy utrzymać żubry w czystości rasy. Wniosek ten został przyjęty niemal jednogłośnie, czemu należy przyklasnąć. W samej rzeczy, gdy po południu p. v. d. Groebe zaprodukował Kongresowi nadesłane przez p. Braunera z Askanji Nowej (Krym), fotografje hodowanych tam jeszcze z czasów dawnego właściciela, p. Falc-Fein'a, mieszańców żubrów z bizonami amerykańskimi, widoczne było, do czego doprowadziłaby hodowla takich pokurczów. Można się tem bawić, jeśli chcemy stwierdzić, w jakim stopniu w tego rodzaju krzyżówkach bierze przewagę jedna lub druga krew, lecz bezwarunkowo wyłączyć należy wszelkie pokurcze z hodowli, kierowanej przez Ligę, która ma przecież za cel główny uratowanle czystej rasy żubrów od zagłady.

Przedpołudniowe posiedzenie w dniu 4. września zajęło w znacznej części reprodukowanie przeźroczy z fotografji wspomnianych tylko co mieszańców krymskiej hodowli, jak również fotografji żubrów Poznańskiego Ogrodu Zoologicznego, zaprodukowanych przez dyrektora Szczerkowskiego, oraz czaszek żubrów kopalnych — przez dra Pohle.

Dr. Antonius odczytał referat nieobecnego dra Ickeli'ego z Hermansztadu o żubrach w Siedmiogrodzie, przyczem zaprodukował fotografję całkowitego szkieletu kopalnego tura *(Bos primigenius).* Dotychczas zdarzało mi się widzieć jedynie czaszki tura i to bez żychwy (dolnej szczęki); zdumiony więc byłem, widząc folografję szkieletu tura, z której można było zrobić sobie pojęcie o budowie tego protoplasty naszego bydła domowego. Okazuje się bowiem, że tur posiadał wyrostki kręgowe (zwłaszcza kręgów grzbietowych) bodaj dwa razy dłuższe, aniżeli u żubra, a ten przecież długością swych wyrostków kręgowych bije znacznie nasze bydło domowe. Z powyższego można sobie wyobrazić, że tur był jeszcze stosunkowo znacznie wyższy w przodku, aniżeli żubr.

Resztę przedpołudnia zajęło zwiedzanie Muzeum pod wodzą dra Antonius'a, po południu zaś zrobiono wycieczkę do Schönbrunn'u, dla obejrzenia miejscowej hodowli żubrów,

Dla mnie osobiście nadzwyczaj ważne było poznajomienie się z dyrektorem Szczerkowskim i z Nadleśniczym Meyerem, gdyż to spotkanie przyczynić się może do skombinowania hodowli pszczyńskiej z hodowlą poznańską. Należy bowiem wspomnieć, że obecnie hodowla pszczyńska stanęła na martwym punkcie, posiada bowiem dwa byki i trzy krowy, lecz oba byki są niezdatne do reprodukcji, gdyż starszy z nich jest już niepłodny, a młodszy kuleje. Z trzech krów — jedna jest jałowa wskutek starości. Niezbędnem więc jest postarać się dla dwu krów młodszych o reproduktora, co się może uda skombinować z hodowlą poznańską, która posiada krowę i dwa byki, z tych jeden jest zbyteczny, więc możnaby go drogą zamiany, czy wypożyczenia wcielić do hodowli pszczyńskiej. Sprawa ta będzie przedmiotem zabiegów moich w najbliższej przyszłości.

Na zakończenie powiem, że przyrost żubrów w Europie postępuje zwolna wprawdzie, ale postępuje. Na 1-go stycznia 1926 r. było żyjących w Europie żubrów 69 — w stosunku do 66 na 1. stycznia 1925.

Jan Sztolcman.



Z KARPAT

Rykowisko jeleni w tym roku było złe. Jelenie słabo ryczały, lub nie ryczały wcale. Padło jednak kilka poważnych byków a między nimi z ręki hr. Leona Żółtowskiego w Sołotwinie mizuńskiej padł 20-ak nierówny wagi 11·60 kg. Jeleń ten stoi na równi z jeleniem ubitym w r. zeszłym w Worochcie przez J. hr. Bielskiego, tak że te dwa wieńce uznać musimy jako najpotężniejsze, w zbiorach wieńców karpackich znajdujących się w kraju. Wieniec hr. Żółtowskiego odbijemy w Łowcu po otrzymaniu fotografji i oznaczeniu rozmiarów.

Prócz tego rekordowego wprost jelenia zasługują na wzmiankę 18-ak z Żabiego ubity przez K. ks. Czartoryskiego, 16-ak z Żabiego (gminne) ubity przez p. C. C. Golejewskiego, 18-ak z Jasienia ubity przez Ludwika hr. Mycielskiego, z Sołotwiny 16-ak ubity przez Wład. hr. Zamoskiego, 16-ak z Zielonej ubity przez p. Henryka Preka. Padło jeszcze kilka dobrych jeleni, których nie było danem nam widzieć, padł w Sołotwinie piękny o z srebrym połyskiem futrze niedźwiedź z ręki Zdzisława hr. Tarnowskiego.

Pożądanem byłoby bardzo, by myśliwi polujący w naszych górach, przyjęli sobie za obowią-

zek wystawiania wieńców ubitych jeleni w Małop. Tow. Łowieckiem we Lwowie, gdyż trofea te, to chluba nasza, to własność nie tylko szczęśliwych zdobywców, lecz i łowiectwa polskiego.

Zapisując nową kartę historji Karpat chlubnemi notatkami z roku bieżącego, musimy niestety z obowiązku naszego kronikarskiego, kartę tę i przykrą opatrzyć wzmianką: **w Jasieniu padły podczas tegorocznego rykowiska dwa niedźwiedzie w dublecie z ręki zaproszonego tam gościa p. Wichlińskiego z Poznańskiego, a to młodziutka niewyrośnięta niedźwiedzica z sysakiem.** Dla myśliwych komentarze zbyteczne. Musimy wyrazić słowa serdecznego współczucia, p. J. hr. Bielskiemu, jako prezesowi spółki myśl. Jasień. Znając Jego subtelność myśliwską i wrażliwość na czyny w myślistwie nie etyczne, bolejemy że przykry ten tak dla Niego, jak i dla nas wszystkich incydent zaszedł w rewirze Jego patronatowi podległym. *Red.*

ALBERT MNISZEK

KARPATY WSCHODNIE

W TOPOGRAFJI, NOMENKLATURZE I MYŚLISTWIE

Wschodnia część Karpat polskich licznie odwiedzana corocznie przez myśliwych, stanowi kilka grup różniących się między sobą tak znacząco, że ściśle między niemi oznaczyć możemy granice. Grupy te właściwe też mają nazwy. Każda z nich ma swoje charakterystyczne cechy, tak pod względem topograficznym, jak etnicznym, a też do pewnego stopnia różnią się one między sobą pod względem flory i fauny. Flora zależna jest, rzecz naturalna, od układu pionowego gór, ich podłoża i klimatu, fauna zależną jest też od tychże warunków i od flory, a więc warunków bytowania.

Granicę Wschodnich Karpat polskich tworzy od zachodu dolina Sanu, Osławy i Laborcy z przełęczą Łupkowską w grzbiecie granicznym. Południową granicą ich jest grzbiet górski, po którym biegnie granica państwa, na wschodzie również zamyka je granica państwowa w klinie między Rumunją i Czechosłowacją, a tworzy ją od Rumunji Biały Czeremosz.

Karpaty na tej przestrzeni rozpadają się na cztery grupy. Pierwszą od wschodu są *Beskidy huculskie,* na północ od Czarnohory, a na wschód od Prutu nad brzegami obu, Czarnego i Białego Czeremoszów, drugą jest *Czarnohora* w klinie między źród'ami Białej i Czarnej Cisy u źródeł Prutu. Trzecią są *Gorgany,* między doliną Prutu a doliną Mizunki, dopływu Świcy, wreszcie czwartą i ostatnią *Bieszczady* od doliny Mizunki, po dolinę Sanu i przełęcz Łupkowską.

1. Beskidy huculskie.

Pasmo to odgraniczone jest od zachodu i północy doliną Prutu, od południowego zachodu przełęczą Bukowielą, przez którą prowadzi droga z Worochty do Żabiego, od Czarnohory rozprzestrzenia się nad brzegami Czarnego i Białego Czeremoszu; wypełnia klin wsunięty między granice Czechosłowacji i Rumunji. Jest to tak zwana Huculszczyzna. Zagłębić się w nią można przez Kołomyję, Kosów, skąd prowadzi przepyszny gościniec do Żabiego, stolicy Huculszczyzny, lub przez Worochtę, skąd prowadzi droga ponad Prut przez Ardzeluzę i przełęcz Bukowielę.

Najpoważniejszemi szczytami górskiemi są tutaj Łysunia (1464 m), Hordje (1478 m) i Grahit (1471 m). Wznoszą się one na pograniczu Worochty. Huculszczyzna cała dzieli się na kilka rządowych okręgów gospodarczych, jak część państwa Nadwórniańskiego z Jaremczem, Mikuliczynem, Worochtą ect, następnie Kosmacz i olbrzymia w południowym klinie państwa Hryniawa, myśliwych najwięcej interesują. W środku Huculszczyzny rozsiadło się Żabie, olbrzymia połać gór i borów, własność fundacji hr. Skarbka.

Pod względem topograficznym przedstawiają Beskidy Huculszczyzny wiele cech odrębnych. Są to góry lesiste, buk i jodła zalesiają ich stoki. Liczne i wielkie połoniny, stoki często strome, najeżone skałami, przepiękne doliny Prutu i Czeremoszów, nadają fantantycznej malowniczości krajobrazowi. Piękny ten pas górzysty i lesisty ziemi, zamieszkuje w licznych a bardzo rozrzuconych wsiach (Żabie liczy 8.000 mieszkańców i obejmuje 602 km^2, Hryniawa 420 km^2, Mikuliczyn 435 km^2, Zielona 466km^2) odłam ruskich górali, zwanych Huculami. Jest to pod względem etnograficznym najwięcej interesujący teren w całej środkowej Europie. Huculi różnią się od swych pobratymców Rusinów charakterem, wyglądem, strojem i zwyczajami, a nawet, jak utrzymują antropologowie, budową czaszki. Według jednych, są to potomkowie Gotów (got, gocuł, hucuł), według innych — potomkowie Rumunów, a pochodzenie to zdradzałyby ubiór, struktura chat i wiele nazw rumuńskich wsi i gór (Tekucza, Brustura; Balzatul, Turkuł i w. i.)

W strony te „zabite deskami“ podczas zawieruch wojennych w dawnych czasach uciekali rozmaici ludzie, różnych narodowości i kondycyj, uciekała też podobnie jak i na Zaporoże pod grozą kondemnat z nieczystem sumieniem i szlachta polska. Spotykają się tu nazwiska Kraszewskich, Milewskich, Uruskich i t. p. Rodziny zupełnie dziś ruskie, a tylko dwie wsie Berezów i Szeszoty zamieszkują Huculi polscy, władający zupełnie poprawną polszczyzną.*)

*) Dr. Mieczysław Orłowicz: *Karpaty wschodnie,*

Huculi są wszyscy bruneci i szatyni o ostrych rysach, hucułki niskie, blondynki i szatynki. Lud przystojny, barwnie, jaskrawo ubrany, malowniczo przedstawia się oku przybysza na tle rodzimego pejzażu. Huculi mają ogromnie rozwinięty smak artystyczny. Ich sztuka ludowa jest bardzo oryginalną. Wytwory huculskie, jak rzeźba drzewna (talerze, kasety, toporki), kilimy, sukna, mają zbyt, szeroki popyt i są cenione nawet poza granicami Polski. Mają oni specjalny swój styl zdobniczy mosiądzem i paciorkami.

Poziom moralny ciekawego ludu tego pozostaje za to na bardzo niskim poziomie. Stosunek zupełnie wolny kobiet do mężczyzn jest u niego rzeczą zupełnie normalną. Wskutek tego lues jest w Huculszczyźnie chorobą od wielu dziesiątek lat nagminną i niszcząc ten piękny lud, skazuje go na rychłą zagładę.

Pod względem łowieckim, Beskidy huculskie są rewirami przyszłości. Srogie zimy i wojna wytępiły jelenie w nich prawie do szczętu, dziś już zwierzostan ten się odradza. Niedźwiedzie występują w Hryniawie, Jaworniku i Żabiu. Najpospolitszą a tak cenną dla myśliwego zwierzyną, tam prócz jarząbka jest głuszec.

W Hryniawie, a głównie w kilku rewirach Żabiego np. na Czywczynie, występuje on w imponującej wprost liczbie. Z innych ptaków spotykamy tam często cietrzewie, a z drapieżnych oba gatunki sępów krajowych t. j. płowego (gyps fulvus) i kasztanowatego (gyps cinereus), orła przedniego (aquila fulva) oraz orła Bielika (Heliaeus albicilla). Wszystkie te gatunki drapieżców w Karpatach wschodnich niewątpliwie się gnieżdżą, prócz sępa kasztanowatego, co do którego zachodzi w tym względzie wątpliwość, gdyż istnienie gniazda jego w Karpatach polskich nie zostało, zdaje się, dotąd stwierdzone.

C. d. n.

MIECZYŁAW KRUSZEWSKI

Z tegorocznych toków głuszcowych w ordynacji Dawidgródeckiej

I znów wśród mrocznych puszcz poleskich zabłysły wesołym płomieniem ogniska przy budanach, a na ich tle zarysowały się ciemne postacie. przykucniętych, kosmatych poleszuków-gajowych i ruchliwe cienie pracowitej służby — to ordynat Dawidgródecki — wskrzesiciel tradycji Radziwiłłowskich — wiedzie swoje hufce na królewskie gody wiosenne.

I ja spędziłem przy tych ogniskach pod burką 14 nocy i zdobyłem 5 wachlarzy — (spłoszyłem 2 głuszce niedoszedłem do 3-ch, a o figlach, jakie mi spłatali poczciwy Dmytro i zajadle broniąca swej dziewiczości „Seraja Pohoń" — chcę tu opowiedzieć.

Dnia 15. kwietnia b. r. rano uszliśmy już spory kawał drogi z Dmytrem, brodząc prawie po kolana w wodzie, nadsłuchując ustawicznie, czy już śpiewa — i pomimo mego ciągłego powstrzymywania, posuwaliśmy się ciągle dalej wolno, noga za nogą, w głąb bagna, porośniętego karłowatą sosenką.



PRZECHÓD PRZEZ BAGNA

Raptem Dmytro pochylił się w bok popod gałęzie najbliższej sosny i wyciągnął rękę w górę, pokazując nią suchą wyższą sosnę, oddaloną od nas na niecałe 30 kroków. W ciemnościach rozpoznałem na tle nieba zgrubienie konara, ale nawet przez lunetę nie zdołałem rozpoznać głuszca, któremu w każdym razie brakowało szyi i głowy. Na powtórne zapewnienie Dmytra, siadłem w mech i wtedy dopiero zauważyłem w lunecie poruszenie się tego zgrubionego konara, a gdy głuszec wyciągnął się w poziomej linji i posunął się w biegu po gałęzi, aby z jej końca odlecieć, rozpoznałem że kogut i strzeliłem. Strzał ten zawdzięczam tylko lunecie i grubym końcom krzyża. Nasz towarzysz wyprawy, Morstin, usłyszawszy na pobliskim, sąsiednim toku mój strzał, zapewniał swego pobereżnika, że mi musiała broń przypadkiem wypalić, bo na strzał światło jeszcze niemożliwe. Głuszec spadł z głową pod skrzydłem, schowaną tak twardo, że dał się mimo nieuniknionego chlapania i bulgotania wody, tak blisko podejść. Pokazało się, że Dmytro pierwszy raz podprowadzał myśliwego pod głuszca.

„Seraja Pohoń".

Istotnie „Mokry wygon", niezbadana przestrzeń moczarów, porośniętych karłowatą sosną, jak morzem szuwarów, w którem nie dostrzeże się ani jednego wysokiego drzewka, które mogłoby służyć za punkt orjentacyjny, to eldorado głuszcowe na południowo - zachodnim krańcu ordynacji Dawidgródeckiej — nietknięte dotąd stopą myśliwego, a nawet przez kłusowników dotąd nie odwiedzane, bo tam krok każdy, to ciężki wysiłek nóg i płuc. Dopiero zacięty Moryś Potocki odkrył i zdobył tę fortecę głuszcową, położywszy około 7 km kładek do brzegu „Seraji Pohoni" i wystawiwszy tam budan z podłogą, poza którą każdy krok, to kąpiel po kolana w wo-

dzie. A jednak niewiele brakowało, że bylibyśmy to eldorado głuszcowe opuścili z jednym tylko głuszcem. Zdawało się nam, że Seraję Pohoń bronią jakieś zaklęte duchy przed bezczelnymi intruzami!

Pierwszego ranka Potocki zabija jednego, drugiego płoszy. A ja podchodząc dobrze grającego głuszca strzelam, ufając rysim oczom Kuropatkina kurę i płoszę sobie głuszca. Drugiego ranka Potocki płoszy owego głuszca — ja przez chwilę widzę mego migającego się na piechotę między kępami mchu, ale w tej chwili odlatuje. Postanawiamy więc strzelać wieczór, bo wieczorami lepiej tokują. Potocki podchodzi znów bez rezultatu, a mnie spotyka druga tragedja. Podchodzę z Kuropatkinem dobrze grającego koguta — raptem kogut cichnie, a my spostrzegamy go prawie równocześnie na tle dość jasnego, sierpem księżyca oświetlonego nieba, na wierzchołku karłowatej sosny, z rozłożonym, do góry wzniesionym wachlarzem i do góry wyciągniętą szyją w odległości około 60 kroków od nas.



ROZKŁAD

Strzelam przez lunetę: głuszec ani nie drgnął — Strzelam drugi raz — sytuacja bez zmiany. Strzelam trzeci raz — głuszec zwija wachlarz. Strzelam czwarty raz — środek się rozlatuje, zostaje tylko szyja wyciągnięta i złożony wachlarz! Zrozumieliśmy! Czub sosny trafiony w sam środek! Syczące: „Psiakrew“ wycedzam przez zaciśnięte usta, lecz w tej chwili spotykam się z rozpaczliwym wzrokiem Kuropatkina, który palcem nakazuje mi milczenie, i wskazuje tajemniczo w lewą stronę — podaję mu lornetkę, on przykłada ją do oczów i robi krok w bok aby okrążyć wzrokiem najbliższą nam z lewej strony grupkę sosen, i z okrutnym łopotem prawie nam z pod nóg może na 20 kroków od nas, a z lewej strony od kierunku oddanych strzałów zrywa się „On“ i ginie w tej samej chwili w ciemnościach nocy czarny, tajemniczy, niedostępny, jak rycerz z bajki! Strzelałem z büchsflinty dość trudno łamiącej się, więc ani tak bardzo prędko ani bardzo cicho tych 4 strzałów nie dałem, a głuszec siedział tak blisko nas, że gdy się na gałęzi poruszył, to go Kuropatkin posłyszał, co mi zaraz palcem oznajmił!

„Seraja Pohoń“ się broni, myślę i nie chcąc jej więcej prowokować, zapowiadam Kuropatkinowi, że nazajutrz rano podchodzić już więcej nie będziemy i opuścimy niegościnną „Serają Pohoń“. Jakoś nazajutrz rano poddałem się namowom Kuropatkina i nie żałowałem tego: Wracając tego ranka z dwoma głuszcami (trzeciego spłoszyłem: będąc na 40 kroków od niego zrobiłem nieostrożnie krok w bok, aby ominąć widła gałęzi, przez które nie chciałem strzelać) miałem wrażenie, że zmogłem w końcu tę zaciekle się broniącą, dziewiczą „Serają Pohoń“.

ALBERT MNISZEK

Normalny stan sarn w rewirze i odstrzał siut

Umieszczony w Nr. 9 Łowca b. r. artykuł p. K. Dudika pod tytułem *„Odstrzał siut“* zasługuje na uwagę myśliwych, wskutek poruszonych w nim bardzo rzeczowo zagadnień natury gospodarczo-łowieckiej tyczących się naszych sarnich zwierzostanów.

Słusznie Sz. Autor zaznacza, że w dzisiejszych czasach podporządkowanie łowiectwa pod interes gospodarstwa lasowego jest rzeczą konieczną i że nie może być ono traktowane ze stanowiska tylko sportowego i li tylko jako przewilej zamożnej klasy społeczeństwa.

Bardzo słusznie. Dawno minęły te dobre czasy, w których las tak jak stał, należał cały do zwierzyny. Sadzono dla niej i wycinano drzewa, robiono zręby, lub nie przerębywano drzewostanów, byle zwierzynie dobrze się działo. W dzisiejszych trudnych warunkach, w dniach szalonej pogoni za pieniądzem, w dniach restauracji zniszczonej wojną gospodarki lasowej, łowiectwo musi się podporządkować interesom gospodarstwa lasowego. Nie znaczy to jednak, że łowiectwo ma być traktowane po macoszemu, jako „quantité négligeable“ a zwierzyna jako zło z konieczności tylko tolerowane.

Właśnie dlatego, że łowiectwo nie jest dzisiaj uważane za rozrywkę klasy uprzewilejowanej, lecz jest częścią bogactwa i gospodarstwa krajowego, że rozumnie i planowo prowadzone, daje dochód tak właścicielowi rewiru jak i zarobek i pożytek pracującej ludności, musi się w każdem gospodarstwie znaleźć należne mu względy, i nie wolno go niszczyć. Dobry rolnik i leśnik a przytem chodowca i miłośnik zwierzyny łatwo potrafi wytyczyć granicę, w której te trzy gałęzie gospodarstwa krajowego t. j, lasowe, rolne i łowieckie stykać się będą ze sobą, nietylko w niczem sobie nie szkodząc, lecz nawet się wzajemnie wspomagając. Na ten temat pomówimy jeszcze.

Artykuł p. K. Dudika porusza kilka kwestyj, które starać się będę kolejno omówić, powołując się na zdania najwybitniejszych chodowców-myśliwych.

1. Jak unormować stan sarn w stosunku do wielkości rewiru.

2. Jak unormować stan sarn w stosunku płciowym.

3. Kiedy i jak odstrzeliwać kozy jałowe i kozy nadliczbowe.

Ad. 1. hr. Sylva-Tarouca jeden z najznakomitszych myśliwych-hodowców *) słusznie nie oznacza cyfry jako podstawy do liczebności zwierzyny w stosunku do wielkości terenu, lecz czyni ją zależną od najrozmaitszych czynników, a więc gleby, klimatu, gatunku drzewostanu, położenia, wreszcie środków żywnościowych, a więc karmy jaką chodowca rozporządza i przeznaczyć chce i może dla utrzymania zwierzyny. Wiktor Stephan zaś w cennej swej monografji sarny **) podaje jedną sztukę na 10 morgów jako zasadę unormowania stanu sarn w stosunku do obszaru.

Zgodziłbym się, co do mnie, z stosunkiem takim w głębokich górach, dalekich od pól uprawnych, w lasach szpilkowych na piaskach lub bagnach lecz w okolicach żyżnych w lasach liściastych, specjalnie w drzewostanach dębowych i bukowych wśród pól i łąk położonych, sądzę, że podnieść śmiało można stan sarn o 50% a więc może być $1^1/_2$ sztuki w stosunku do 10 morgów, bez uszczerbku kultury lasowo rolnej. W tem jednak miejscu pozwolę sobie zauważyć że Sz. Autor rzeczonego artykułu: „Odstrzał siut" zbyt optymistycznie liczy na jedną kozę dwie sztuki przyrostu co roku. Nie każda koza musi być pokrytą, nie każda koza pokryta musi być zapłodnioną, nie każda zapłodniona koza rodzi dwoje koźląt i nie zawsze tych dwoje się wychowa. Żyją przecież też kłusownik, lis i pies, a i mili często sąsiedzi, a kochana nasza polska zima potrafi też redukować przyrosty zwierzyny. Zgadzają się ze sobą wszyscy hodowcy, że w najidealniejszych warunkach, w rewirach otoczonych czujną opieką łowiecką liczyć można najwyżej na jedną kozę, jedną sztukę w przyroście rocznym, a hr. Sylva-Tarouca oblicza normalny przyrost tylko na 80%, t. j. 8 sztuk przyrostu od 10 kóz.

Jeżeliby więc Sz. Autor według swego sposobu obliczenia przyrostu stan sarn w rewirach mu powierzonych chciał unormować, to doprawdy niedługo doczekałby się katastrofalnych rezultatów.

Ad 2. hr. Sylva-Tarouca wychodząc z założenia, że mniej więcej rodzi się ta sama ilość koziołków, co kózek a może nawet tych pierwszych cokolwiek więcej, stosunek kozłów do kóz powinien być w danym rewirze równym lub nieco na korzyść płci męskiej. Kozłów należy tyle odstrzelić, by równoczesny przyrost pokrył różnicę powstałą przez odstrzał. Odstrzał kozłów powinien być dokonany w czasie od otwarcia polowania do chwili poczęcia się rui, aby nie brały w niej udziału kozły do rozpłodu nieodpowiednie, słabe z lichemi rożkami i fizycznie niedojrzałe. Personal łowiecki wiedzieć powinien jakie rogacze odstrzelić trzeba w danym rewirze. Za zasadę przyjąć należy odstrzał najwyżej $^1/_5$ części obecnych w rewirze rogaczy w ogóle, z rogaczy zaś silnych (kapitalnych) najwyżej $^1/_4$-tej.

Szanować więc kozły kapitalne w $^3/_4$-tych ogólnego stanu, gdyż tylko takie płodzą zdrowe i dorodne potomstwo.

*) E. Gf. Sylva Tarouca: Kein Heger, kein Jäger! Berlin 1899.
**) Wiktor Stephan: Sarna (cervus caprerlus) Warszawa 1903.

Ad. 3. Odstrzał kozy jałowej nastąpić wtedy tylko może, o ile jej bezpłodność notorycznie jest stwierdzoną. Na to trzeba przynajmniej dwa lata czasu, gdyż koza nie rzucająca potomstwa przez dwa lata z rzędu uznaną dopiero być może za jałową. Taka więc koza „osobiście" musi być znaną personalowi łowieckiemu i odstrzeloną jak najprędzej, bez względu na porę roku.

Jeżeli chodzi o odstrzał kóz nadliczbowych, to ile ich odstrzelić trzeba, decyduje plan gospodarczo-łowiecki w danym rewirze, a więc właściwie odpowiedź już zawarta w wyjaśnieniu ad. 2. Odstrzeliwać należy sztuki tylko młode t. j. niezapłodnione kózki a szanować stare, dojrzałe fizycznie kozy, gdyż tylko takie dają zdrowe potomstwo, a gospodarz myśliwy redukując swój zwierzostan, starać się musi podnieść go jakościowo, a to da się tylko uczynić racjonalnym odstrzałem i przezeń regulowaną selekcją. Dlatego też rogacze silne, kapitalne należy odstrzeliwać najwcześniej dopiero w okresie kończącej się rui aby im dać możność dopełnienia obowiązku rozpłodowego. Kozy, małe kózki przeznaczone do odstrzału najlepiej wybierać w zimie, aby dać im czas do wyrośnięcia i łatwiej też wtedy rozpoznać ich płeć. Żadnego odstrzału nie należy uskuteczniać w porze kocenia się siut. Za zasadę mieć się powinno: *odstrzelić lepiej za mało, aniżeli zawiele.*

Tak kozłowi jak i kozie należy się li kula. Nie jestem bezwzględnym przeciwnikiem strzelania rogaczy w zimie, gdyż przyznaję że są rewiry w których tylko w zimie rogacze strzelać się daje, n. p. w górach, gdzie sarn jest mało, a rogacz jest wobec dzika i jelenia zwierzyną dla myśliwego drugorzędną i nikt tam w lecie na bardzo wątpliwego kozła nie pojedzie, dalej w bagnach, gdzie w lecie sarn niema i dostać się do lasu można aż gdy zamarznie, jestem jednak zdania, że strzelanie w zimie kozłów w rewirach nizinnych jest w dzisiejszem pojęciu myśliwskiem barbarzyństwem, szczególnie tam gdzie kozły osadzają dobre różki. Ubicie kozła bez rogów, to ubicie kilkunastu kilogramów mięsa! Pokazywano mi niedawno rożki w scypule w lutym b. r. ubitego kozła 30 cm wysokości 8-ka Cóż to za szkoda, co za marnotrastwo!

A teraz jeszcze kilka uwag natury ogólnej. Jak na początku zaznaczyłem, łowiectwo musi żyć w zgodzie z kulturą lasów i pól, nie może być jednak traktowane jako zło konieczne. Zwierzyna ma też prawo bytu, daje też pewny dochód, a jeżeli nawet robi szkody, to płaci za nie swem mięsem i skórą. Ze strony właściciela rewiru bez względu czy jest on myśliwym, czy nie, należy się jej wyrozumienie i czuła opieka. Mam tu na myśli głównie właścicieli większych obszarów, którzy szkody zrządzone przez zwierzynę łatwiej przeboleć mogą, a tym panom, choćby nie myśliwym nie wolno traktować łowiectwa po kupiecku, choćby w imię zasady, że „*noblesse oblige*".

Zaręczyć Sz. Autora mogę, jako blisko Wydziału M. T. Ł. stojący, że załatwia on podania odstrzałowe zawsze indywidualnie. Tam gdzie gospodarka łowiecka prowadzi się racjonalnie a właściciel jest myśliwym

i hodowcą zwierzyny, Wydział daje opinje zawsze przychylne bez żadnych utrudnień, przeciwnie w wypadkach gdzie właściciel o zwierzynę nie dba, uważa ją za chodzące kilogramy mięsa, a gospodarka łowiecka jest prowadzoną w sposób nie wzbudzający zaufania, tam Wydział M. T. Ł. bardzo słusznie staje na właściwem, podyktowanem obowiązkiem stanowisku.

Znany mi jest konkretny wypadek, że właściciel kilku wielkich latyfundjów w wsch. Małopolsce sprzedał w zeszłej jesieni większą ilość zajęcy „na pniu“ jakiemuś czeskiemu handlarzowi, któremu zobowiązał się ich dostarczyć ubite w ciągu zimy 1925—26.

Już pierwsze polowania przeprowadzane wykazały, że ani połowę zajęcy sprzedanych odstrzelić nie można bez wyniszczenia zupełnego zwierzostanu. Nic to jednak nie wpłynęło na zmianę transakcji. Biedne szaraki tłuczono we wszystkich tych dobrach, aż je wyniszczono niemal doszczętnie, ale handlarz dostał swój towar co do sztuki a właściciel pieniądze!

Gdy taki pan zgłasza się następnie do Wydziału M. T. Ł. z prośbą o przychylną opinję w sprawie odstrzału, Wydział M. T. Ł. musi tę sprawę traktować bardzo skrupulatnie by się przekonać, jak się istotnie ona przedstawia.

Przyznaję zupełną słuszność p. Dudikowi że przy prowadzeniu racjonalnej i planowej gospodarki łowieckiej odstrzał siut rok rocznie jest niezbędny. Przy nierównomiernej atoli a często bardzo niskiej jeszcze kulturze łowieckiej w naszych rewirach, jakiej jaskrawy przykład naprowadziłem powyżej, siuta musi przez dłuższy czas jeszcze pozostawać pod ochroną ustawy, a każdy jej odstrzał musi odbywać się pod kontrolą czynników do czuwania nad wykonywaniem prawidłowego myślistwa powołanych.



P. ŁYSAKOWSKI

Parę uwag na temat obecnych stosunków łowieckich

Przyczyn tamujących prawidłowy rozwój zwierzyny łownej jest bardzo wiele, tak że nie sposób wyliczyć je wszystkie wyczerpująco. Znają je zresztą prawdziwi myśliwi — hodowcy z pod znaku św. Huberta i każdy z nich stara się zapewne przeciwdziałać im gdzie tylko i ile tylko może. Że jednak rezultat poszczególnych jednostek nie jest zadowalający, świadczy o tem zanikający coraz więcej stan zwierzyny łownej w Polsce.

Należy zatem zmienić metodę walki ze złem, wysiłek jednostek zastąpić zorganizowanem współdziałaniem wszystkich czynników, powołanych do ochrony zwierzyny łownej, a zarazem rozszerzyć zakres działania zapobiegawczego, względnie ochronnego na dziedziny, dotychczas pod tym względem pominięte.

Mając ten cel przed oczyma, chciałbym zwrócić uwagę interesowanych na kilka takich przyczyn, wpływających ujemnie na rozmnożę zwierzostanu, a zarazem wskazać sposoby i środki przeciwdziałania, zdaniem mojem najodpowiedniejsze, a skoroby wytrawniejsi i więcej doświadczeni myśliwi uznali moje uwagi za słuszne, a nadto zechcieli je rozwinąć i uzupełnić, — może moje skromne poczynanie przyczyni się choćby w minimalnym stopniu, do osiągnięcia celu, który prawdziwym myśliwym tak leży na sercu; do podniesienia stanu zwierzyny łownej w Polsce.

Za największe niebezpieczeństwo dla zwierzyny łownej uważam okoliczność, iż prawo polowania wykonują już to jako właściciele, już to jako dzierżawcy terenów, — na znacznej części naszego kraju osoby, niegodne miana myśliwych — osoby, które bądźto nie mają pojęcia o zasadach racjonalnego łowiectwa, hodowli zwierzyny i etyce łowieckiej, bądź też świadomi tych rzeczy z pewnych przyczyn nie stosują ich w praktyce.

Mimo, że wiekowa ewolucja pojęć doprowadziła do uznania łowiectwa za jedną z ważnych gałęzi gospodarstwa krajowego i wytworzyła etykę myśliwską, która nakazuje liczyć się z interesem zwierzyny łownej nie tylko z punktu widzenia niezaprzeczonych korzyści ekonomicznych, — w przekonaniu społeczeństwa i przeważnej części rzekomych myśliwych pokutuje dotychczas pojmowanie myślistwa jako przyjemności osób uprzywilejowanych, tak samo jak przed wiekami, z tą tylko różnicą, że wówczas uprzywilejowanymi byli „możni tego świata“, obecnie zaś, w czasach demokracji, uprzywilejowanym jest każdy, kto czyniąc zadość formalnym wymogom ustawy, jest uprawionym do polowania.

Ustawa łowiecka nie liczy się wiele, z wartością moralną uprawnionego do polowania, nie chce wiedzieć, jak on polowanie pojmuje i jaką ma etykę łowiecką, a w każdym razie pozostawia tak szerokie granice jego samowoli, że tenże, nie naruszając przepisów ustawy, może wyrządzić ogromną szkodę zwierzynie, byle tylko zadowolić swą „przyjemność“ lub osiągnąć chwilową korzyść z uszczerbkiem przyszłych dochodów z danego terenu.

Dominującą cechą przeważnej części „myśliwych“ naszych czasów jest „nie liczenie się z przyszłością“,

bądźto dla uspokojenia swej tak zwanej żyłki myśliwskiej t. j. pociąga do odnoszenia taniego zwycięstwa nad bezbronną zwierzyną, bądź też z chęci chwilowego zysku. W jednym i drugim wypadku wykonywanie myślistwa pozbawione jest wszelkiej rozumnej kalkulacji gospodarczej, która przecież jest niezbędnym wymogiem każdej produkcji ciągłej, natomiast ma ono podkład wybitnie psychologiczny: podstawą jego jest jedynie namiętność (do której zaliczam również chciwość nie opartą na wskazaniach rozumu).

Nie wielu zaś jest stosukowo prawdziwych myśliwych, którzy łącząc przyjemne z pożytecznem, patrzą w dalszą przyszłość i polowanie uważają nie tylko za rozrywkę, lecz równocześnie za systematyczne pobieranie rocznych pożytków z tej dziedziny gospodarstwa krajowego, którzy nie tylko polują, lecz także hodują zwierzynę, dbają o nią, żywią w razie potrzeby i ochraniają ją od grożących jej niebezpieczeństw.

Postępują w stosunku do zwierzyny podobnie jak rolnik do swego inwentarza żywego, który gdy nie chce gospodarstwo likwidować, część tylko z przyrostu może pozbyć, zaś dbać i troszczyć się o innego musi zawsze. Tak też ze zwierzyną musimy postępować, — jeżeli nie chcemy by nasze wnuki nie były zmuszone szaraka aż w podręczniku zoologicznym poszukiwać.

Niestety, dziś jednak tak wielu uważa łowiectwo jako zabawę „możnych“ a krzywdę „maluczkich“. Daleki jestem od myśli anektowania myślistwa wyłącznie dla pierwszych, owszem, niech poluje, kto ma do tego zamiłowanie i kogo stać nato, — lecz musi to robić po myśliwsku, zachowując zasadę i etykę myśliwską. Mimo woli przypomina mi się, gdy podczas wojny parę tygodni przy swym pułku spędziłem w Czechach. Spotykałem tam na polach całe chmury zajęcy i innej zwierzyny, a myśliwi tamtejsi to wcale nie ci „możni“, przeciwnie, chłopi, pojmowali jednak kwestję łowiectwa inaczej trochę jak u nas.

By w naszym kraju stosunki łowieckie radykalnie zmienić na lepsze, powinniśmy dążyć do tego, by na przyszłość każdy, posiadający prawo wykonywania polowania musiał należeć do jednego z towarzystw, czy kółek myśliwskich, lecz tylko do takich, któreby podlegały „Centralnemu Związkowi Stowarzyszeń łowieckich“. Jak ważnem by to było dla sprawy racjonalnego łowiectwa nie potrzeba myślę zbytnio tłumaczyć.

Wystarczy powiedzieć, że tylko osoby z etyką łowiecką mogłyby tam należeć, a jeżeli znalazłby się jakiś wyjątek, to chyba tylko chwilowo, — gdyż jednostki, któreby uparcie trwały przy obecnym stanie rzeczy i w praktyce nie stosowały zasad racjonalnego łowiectwa, winne być czasowo pozbawione prawa polowania na skutek uchwały członków towarzystwa łowieckiego. Dwukrotne wykluczenie z towarzystwa pociągnęłoby za sobą stałą niezdolność do wykonywania prawa polowania. Aby jednak zapobiec ewent. stosowaniu szykan ze strony towarzystw w stosunku do „ludzi nieswoich“, — uchwały dyskwalifikujące winny być pisemnie umotywowane i zaskarżalne przed sądem. — Przymusowi członkowie towarzystwa łowieckiego, korzystając z doświadczenia swych kolegów (prawdziwych myśliwych), czy to w drodze wymiany myśli na zjazdach i zebraniach perjodycznych czy też z czasopism łowieckich, których abonowanie byłoby obligatoryjne, rozszerzaliby stopniowo swój światopogląd łowiecki i z czasem staliby się prawdziwymi myśliwymi.

Drugą sprawą, w której chciałbym słów parę wypowiedzieć, to kwestja czasowego zamykania polowania. Zamknięcie polowania na rok lub dwa nie wiele pomaga, zwłaszcza w terenach dzierżawionych, albowiem dzierżawca, nie mogąc polowania wykorzystać, tem mniej jest zainteresowany stanem zwierzyny, przestaje ją ochraniać, o ile to dotychczas czynił, nie trzyma straży, nie może bowiem ponosić wydatków, które mu się nie wrócą, skoro okres dzierżawy skończy się, zanim polowanie zostanie na nowo otwarte, a niema pewności, że w następnym okresie, utrzyma się przy dzierżawie. Właściciel terenu — mam na myśli gminy, gdyż przeważnie one polowanie wydzierżawiają, — nie otrzymując czynszu dzierżawnego z powodu zamknięcia polowania, również nie poczuwają się do obowiązku ochrony zwierzostanu, zwłaszcza że one również nie traktują polowania gospodarczo o tyle, że sądzą, iż przyszły dzierżawca tak czy tak zapłaci czynsz za możność „zaspokojenia przyjemności„ t. j. włóczenia się ze strzelbą po polach, gdyż stan zwierzyny, jako mało uchwytny i trudny do skontrolowania dla niefachowców, nieznaczną tylko gra rolę przy wysokości czynszu dzierżawnego po stronie przedstawicieli gminy. — Kłusownicy widząc, że dany teren niema należytej opieki i wiedząc że im to bezkarnie ujdzie, polują dowoli, naturalnie nie bacząc na czas ochronny. Psy, koty i inne szkodniki też nie pozostają w tyle.

Wynika z tego, że korzyści płynące z czasowego zamknięcia polowania zostają zupełnie zrównoważone przez straty, jakie zwierzostan ponosi wskutek równoczesnego zwiększenia niebezpieczeństw. Rada mem zdaniem na to jest taka, że na wypadek czasowego zamknięcia polowania w pewnym okręgu, umowy dzierżawne przedłużają się z mocy prawa o ten sam okres czasu, na który polowanie zamknięto. W ten sposób dzierżawca, mając zapewnione korzyści z polowania, po cofnięciu zakazu, będzie dbał o stan zwierzyny, wiedząc, że czyni to dla siebie.

Przechodząc od legalnych niebezpieczeństw, grożących zagładą zwierzynie, do innych, które już ustawa za takie uznaje, wymienić należy na pierwszem miejscu kłusownictwo. Sprawa ta została już wielokrotnie i wyczerpująco omówiona na łamach czasopism łowieckich i rozmaite rady podawano. Czytałem jak jeden amator polowania mocno się oburzał przeciw stosowaniu ostrych kar za kłusownictwo, a polecał uświadamianie złodziei zwierzyny, jako zabieg odpowiedni w naszych demokratycznych czasach.

Mem zdaniem, ta droga najmniej właściwa. Zgodziłbym się z poglądami tego pana, gdyby receptę swą aplikować chciał może za lat sto lub jeszcze więcej, zależnie od stopnia kultury, jaka wówczas w naszym kraju będzie. — Narazie, właśnie w tych demokratycznych czasach, karać kłusownictwo jak najsurowiej, a skutek dodatni będzie osiągnięty niezawodnie. Pozostaje jeszcze zwrócić uwagę na źródło, z którego kłusownictwo czerpie swe soki żywotne. Mam na myśli handel bronią i amunicją w niektórych prowincjonalnych miasteczkach i to przeważnie w rękach żydowskich. Te to handelki zaopatrują kłusowników w amunicję, a uchodzi im to bezkarnie bo znają dobrze swych odbiorców i wiedzą, że ci dla własnego dobra i bezpieczeństwa, nie wydadzą niesumiennych handlarzy. To ciche porozumienie tak wiele wyrządza łowiectwu szkody. Jedynem wyjściem z sytuacji będzie odebranie koncesji na sprzedaż broni i amunicji, z rąk drobnych handlarzy prowincjonalnych, trudnych do skontrolowania, a pozostawienia sprzedaży firmom pewnym, w większych miastach. Prawdziwym myśliwym nie sądzę, by to mogło sprawić większą niewygodę, gdyż i tak przypuszczam nie zaopatrują się w myśliwskie przybory w drobnych handlach, gdzie często zresztą bywają one sprzedawane po lichwiarskich cenach.

Kłusownictwa tem — wiem, że nie wytępi, ale mu bardzo wiele przeszkodzi.

Następnie należałoby kłusownikom uniemożliwić handel zwierzyną, a przynajmniej w czasie jej ochrony, przez co rozumiem ścisłą kontrolę nad sprzedażą dziczyzny po sklepach, z żądaniem legitymowania, zkąd dana zwierzyna, względnie od kogo pochodzi. Rok cały niektóre dzienniki podają ceny dziczyzny w handlu, bez względu na czas ochrony. U kogo się te handle w dziczyznę zaopatrują nie trudno się domyśleć, bo wątpliwem jest, by ją specjalnie hodowały w zwierzynach, a chociażby nawet, to w czasie rozmnoży nie powinno być dozwolonem zwierzynę mordować.

Kwestje powyższe poruszyłem jako obecnie bardziej aktualne, ponieważ stoimy w przededniu uchwalenia nowej ustawy łowieckiej, a jedynie ustawa dostosowana do potrzeb życia, a zwłaszcza poziomu kultury ogółu „myśliwych“ (t. j. osób, dla których, polowanie obecnie jest dostępnem) — może złemu zaradzić.

Rzeczą przedstawicieli prawdziwych myśliwych będzie wykorzystać nadarzającą się sposobność i uzyskać wpływ na zredagowanie ustawy i włączenie do niej przepisów prawnych, któreby lepiej jak dotychczas chroniły zwierzynę łowną przed „legalnem“ wyniszczeniem.

Na koniec pragnę wspomnieć, że niektóre zwyczaje myśliwskie, też przyczyniają się do wyrządzania szkody zwierzynie łownej. Mam na myśli współzawodnictwo myśliwych o palmę pierwszeństwa przy sposobności większych polowań. Niektórzy z uczestników, dążąc do jak najwyższego wyniku, strzelają na prawo i lewo, na fantastyczne odległości bez żadnych szans ubicia danej sztuki. Powstaje „pukanina“ w rezultacie której mnóstwo sztuk postrzelonych uchodzi, a strzelacz który w ten sposób zdobył największą liczbę przypadkowych „trofeów“ przyjmuje jak trjumfator gratulacje i z dumą opowiada, pięknym słuchaczkom, o swych „przewagach rycerskich“ nie pomnąc, że tam gdzieś w haszczach na mrozie dogorywa biedny szarak, lub chociażby „wykrętny mykita“, który miał nieszczęście wyjść na zacietrzewionego „trjumfatora“ na humanitarnem polowaniu.

Takie polowanie i strzelanie niema nic chyba wspólnego z pojęciem etyki myśliwskiej, A jak łatwo złemu zaradzić, nie potrzeba nawet nato ustawy, wystarczy zmienić sposób obliczania osiągniętych rezultatów. Dotychczas zwykle praktykuje się w ten sposób, iż ten zostaje tak zw. „królem polowania“ kto ma na rozkładzie najwyższą ilość punktów za strzelone sztuki. Uważam ten sposób obliczania za zupełnie nie słuszny, bo n. p. p. X ma na rozkładzie 3 zające na trzy oddane strzały, p. „Y.“ ma zajęcy 5 lecz na strzałów 14, więc dlaczego p. „Y.“ ma być lepszym strzelcem? chyba z tego powodu, że więcej strzelał.

Mniejsza jednak o tą niesprawiedliwość, mnie zależy na czem innem, a mianowicie; aby przyhamować tych pseudo ambitnych strzelaczy, co to na każdą odległość otwierają ogień w nadziei; — a nuż zostanie.

Dlatego proponuję, by wprowadzić zwyczaj obliczania nie sztuk strzelonych, lecz danych strzałów. I dla lepszego objaśnienia podaję: ktoś ma strzelonych n. p. 5 zajęcy, przyjmijmy 3 punkty za zająca, więc będzie miał punktów 15, druga osoba ma zajęcy 7 lecz potrzebowała na to 11-tu naboi, (a więc, strzały chybiane o tą samą ilość punktów na minus) czyli że ma 21 mniej 12=9 punktów.

Takie obliczanie uważam za słuszniejsze, a przedewszystkiem, dla zwierzyny zbawienne w skutkach, gdyż zbyt pochopni myśliwi nie dawaliby strzałów niepewnych, z obawy zyskania punktu na minus. Zaznaczam przytem, że o ile zwierzyna została dopiero po drugim strzale, należy wówczas zaliczyć tylko drugi strzał na „plus“, zaś pierwszego zupełnie pod uwagę nie brać.



JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI

SABAŁA, MYŚLIWY-KŁUSOWNIK

Jan Sabała Krzeptowski Czakor z Kościelisk! Kto nie znał a kto nie słyszał bodaj o tej legendarnej postaci złączonej na wieki wieków z Zakopanem i Tatrami? Postać wysoka, w kapeluszu na bakier, ozdobionym w kostki i pióra bażańcie lub cietrzewie. Wśród ludzi umiejących czytać niema takiego, któryby nie wiedział o Sabale, o tym góralu z gęślą, ciupagą czy też fuzją w ręku.

Przypatrzmy się Sabale, jako wolnemu myśliwemu i strzelcowi na swoją rękę. Polowania używał namiętnie i ono było treścią jego życia. Całą swą młodość spędził poza domem ojcowskim na włóczędze po turniach, wśród gęstych i ciemnych lasów, polując sam jeden zwyczajnie lub z bratem swoim, chociaż nie opuszczał też większych wypraw kłusowniczych, których był znakomitym przewódcą, orjentującym się doskonale w terenie, znającym tryb życia zwierząt jak żaden inny kłusownik tatrzański, choć byli tam sławni kompanjoni Sabały, jak trzej bracia jego, potem taki Marduła, Maciej Sieczka, Szymek Tatar, Wawrzek Nędza, Jasiek Tyrała, Wojtek Bukowski z Pająkówki i inni. Kochał Sabała młodzież a głównie tych, którzy z fuzją rwali w górę szukać zwierza i nieznanych przygód.

Sabała gdziekolwiek stanął, z fuzją wszędzie był na własnym terenie, nie uznawał żadnych granic ani prawa obcej własności. Dziśby mu to trudniej przychodziło, lecz dawniej inne były czasy. Sabała bowiem urodził się 1809 r. um. 1894 r. A kiedy z biegiem czasu przemijała awanturnicza i pełna przygód kłusowniczych młodość Sabały, a starość siły mu podcięła, a katarakta świat zaciemniła, wtedy niedołężny starzec grając na swej ukochanej gęśli, wspominał stale i zawsze z tęsknotą o tych swoich polowaniach, które przeszły jak błyskawica, które nie wrócą, bo młodość nie wraca, i w sercu noża czuł ostrze.

A wspomnień tych miał Sabała całe roje. Polował z fuzją na niedźwiedzie, których kilkanaście powalił na miejscu, na wilki, dziki, kozice, sarny, cietrzewie brał nawet na oko i sępy a niejeden orzeł ten „ptak wirchowy“ upadł w pokorze pod nogi Sabale. Nietylko strzelbą ale i trucizną i oklepcami gnębił Sabała zwierzynę, w której szeregach czynił wielkie spustoszenie. Był to krwawy kłusownik, mający na sumieniu nietylko krew zwierząt ale i Liptaków i leśników węgierskich, z którymi miewał często bitki o zwierzynę ubitą, a do których grzmiał narówni jak do kozicy. Życie swoje mało cenił, narażał je stale, zwyczajnie jak góral i jak kłusownik zawodowy.

Pierwszą fuzją Sabały była jednorurka zapalana jeszcze krzemieniem, istna dobijówka; potem grasował z kapiszonówką, a gdy przyszedł w posiadanie dubeltówki stał się niezwyciężonym królem tatrzańskim, mającym w swej dwururce śmierć dla każdego zwierza, którego napotkał. Nabijał po dwie kule owinięte gałganem i strzelał z obu luf naraz. Sabała był wybornym, omal niezawodnym strzelcem, niedźwiedziowi palił między oczy kulą, bo to najpewniejsze, lub w komorę, przecinając zwierzowi żyły od serca. A jednak Sabała, jakkolwiek przy takich niebezpiecznych spotkaniach, bo na kilka kroków nieraz, nie tracił zimnej krwi i panowania nad sytuacją, przecie pudłował także i nieraz jedynym ratunkiem jego było najbliższe drzewo.

Miał też Sabała i przygodę ze samą fuzją. Raz rozsadziło mu lufę i poraniło rękę. Poszedł do lekarza w Nowym Targu, który rękę owinął i orzekł, że nic w ciele nie pozostało. A gdy minął „rok i sześć niedziel“ poczuł Sabała ból i bezwład w ramieniu. Wtedy paznogciem rozdrapał dawną bliznę i przy pomocy szydła wyciągnął z ciała kawał żelaza i ozdrowiał. Twardy to był człowiek na wszelkie niewygody i cierpienia, jak zwyczajnie góral i jak kłusownik zawodowy.

Nie uznawał przepisów bezpieczeństwa; gdy wracał z polowania do chaty, strzelby nigdy nie wyładowywał tylko nabitą zawieszał w sieni na kołku, a nikt się jej tknąć nie ważył, bo jej godnym nie był, bo się wreszcie obawiał tego sprzętu niesamowitego.

Raz gdy polującego Sabałę zaskoczyła ciemna noc w borze, rozpalił z towarzyszami watrę i usnął opodal. Wtedy ogień opalił mu włosy i skórę na twarzy i uszach, i osmuszył mu serdak. Twardy góral otrzepał się z węgli, obudził śpiących i począł żartować z całej przygody. Smutnym nigdy nie był, bo twierdził, że człowiekowi smutnemu to żyć ciężko „jako niedźwiedziowi z kulkom w brzuhu“. Czy mu się „polowacka“ udała czy też nie, czy miał mniej lub więcej niemiłą przygodę, on zawsze miał pogodę na czole. Smutków ani zgryzoty do serca nie dopuszczał, a to wieczne przytem wchłanianie powietrza przesyconego balsamiczną wonią borów, dało mu w sumie 85 lat życia, choć niektórzy twierdzą, że żył nawet więcej. A nocy przespanych po turniach i niedostępnych borach ani sam Sabała, ani nikt z jego towarzyszy zliczyć nie potrafił.

Do Sabały też odnoszą się słowa, które pisał Witkiewicz w utworze „Na przełęczy“: „Z niedźwiedziem

prowadził walkę, jak równy z równym, głowa na głowę, na prawdę oko za oko, ząb za ząb; wydzierał z ziemi zaspane świstaki i bił je, wypruwając z nich tajemniczy tłuszcz, panaceum na wszelkie choroby; strzelał kozice dla mięsa; bił orły przez zachłanność na łup, nienawiść i zwierzęcą potrzebę morderstwa, która się nazywa myśliwskim instynktem, wyrzynał sarny ugrzęzłe w śniegach, obdzierał kuny i wydry z futra, łapał przebiegłą liszkę, i broniąc swoich stad, bez miłosiedzia tępił wilki, a zbłąkane w Tatry stada dzików, obsaczał w ostępach bez wyjścia i mordował bez wyrzutów sumienia".

Zmieniły się czasy, zmieniły się Tatry, wycięto lasy, wytrzebiono zwierzynę, zmienili się ludzie i znikł na zawsze typ kłusownika jakiego przedstawicielem był Sabała.

Zmarł Sabała na Bystrzycy w Zakopanem, a pamięć o nim pozostała wśród tamecznych mieszkanców. Zeszedł do grobu typ oryginalnego kłusownika, o którym niejedna legenda dziwy opowiada, a człek dzisiejszy, gdy to słucha lub czyta, sądzi, że to bajka, a on Sabała przecie bajką nie był żadną, ani też te jego wierne opowiadania o niecodziennych przygodach myśliwskich na naszem Podhalu, jak i „po tamtej stronie".

WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI

Przez kraj Matabellów do Kalacharskiej pustyni

Czterdzieści dni upłynęło od chwili zerwania ostatniej nici, łączącej mnie z cywilizowanym światem i porzucenia ostatniej stacji południowej kolei afrykańskiej „Bulovayo", niegdyś okolicę możnowładcy Matabellów, Lobenynta, dziś miasto pół-europejskie i punkt handlowy, zamieszkały przez biało- i czarnoskórą ludność. Czterdzieści dni jak przedzieram się przez bezbrzeżne równiny dżunglowe, przeciskam się przez ponure a wilgotne lasy palmowe, brnę po kostki w rozpalonym piasku pustyń, lub brodzę po kolana w ilastych błotach wysychających porzeczy. Natrafiam niekiedy na całe okolice niedawnym pożarem zupełnie zniszczone i grubą warstwą popiołu pokryte, na liczne zgliszcza ludzkich osiedlisk, na kupy człowieczych, zczerniałych szkieletów i zwierzęcych kości. To ślady niszczycielskiego pochodu mściwego „dzikiego Mulata", mszczącego się za swe dawne upokorzenia przed dojściem do władzy i dostojeństw, za pogardę swego nielegalnego pochodzenia, za okazywane mu nieposłuszeństwa, a czego nie dokonał ten okrutny satrapa, dopełniły karne ekspedycje białych najeźdców, zamieniających kraj zaludniony i płodny na bezludną i bezpłodną pustynię. Przesądni i wierzący w panowanie nad temi okolicami pośmiertnego złego ducha Mulata, Kafrowie nie śmieją przekraczać tej ziemi i zmuszają mnie do jej okrążania, opóźniając mą podróż przez to znacznie. Zaledwie na pięćdziesiąty dzień podróży, pełnej niespodzianek i przeszkód zbliżam się z mą szczupłą karawaną do rubieży Kalacharskiej pustyni, jako terenu myśliwego, od dawna i tak gorąco przezemnie upragnionego i obranego. Wspomniałem o szczupłości mej karawany, jest ona nad wyraz małą — składa ją zaledwie 13 czarnych Kafrów, Hottentotów, Buszmanów i Beernanów, którym przewodzą: Hottentot Mussay i Maungnansena z plemienia Oriqua, obaj starzy, wiekiem i trudami myśliwskiego życia sterani, lecz dość jeszcze rzeźwi, a nadewszystko znający doskonale pustynię — obeznani z warunkami i jej kaprysami.

Jako początkową bazę mych działań obieramy Vant-Kaas, niewielkie zbiorowisko wód, leżące między wschodnio-południową granicą Damaralandu, a wschodnią Karakaikroanu (plemienia Wielkiego Namaguonladu). Miejscowość ta, jedynie obfitująca rok cały w wodopoje, jest punktem etapów karawan, ciągnących brzegiem pustyni, ze wschodu na zachód, a także niekiedy odwiedzane przez myśliwych. Obfitość wody zciąga tu liczną i różnorodną zwierzynę z całej niemal pustyni, która tu oprócz dostatka wody znajduje ulubione lizawki w solnym gruncie gliniastym. Głębokie, wylizane doły wokoło przez zwierzęta, szczególnie kopytkowe, świadczą wyraźnie o częstem przez nie odwiedzaniu tych miejsc, wyglądających jak wydrążone olbrzymie groty, w ścianach które łatwo wołu schowaćby można. O milę od Vant-Kaas rozbijam obóz na czas dłuższego wypoczynku, tak potrzebnego dla nas i bydła naszego po 5-cio tygodniowej z górą podróży i okropnem wyczerpaniu naszych sił. Oto wreszcie jestem u upragnionego mego celu, pod ścianą Kalacharskiej pustyni, rozścielającej się wszechwładnie wokoło na dziesiątki tysięcy mil. Widok tej żółtej, piaszczystej, martwej części świata leżącej przedemną, oszałamia mnie początkowo zupełnie swym ogromem, dzikością, pustką, a przedewszystkiem tą ciszą, martwotą i spokojem tu panujące. Jej kolosalna, pofałdowana powierzchnia robi wrażenie i prawdziwą złudę zamarłego morza żółtego z zastygłemi na niem wzburzonemi falami.

Ta zamarła, martwa zupełnie część przyrody przestrasza mnie swą pozorną martwotą i przytajonym spokojem, przytajonym — bo jak niema na kuli ziemskiej takiego zakątka, gdzieby absolutna panowała cisza, tak i pustynia ma swe przytajone życie, nawet swe głosy, przez poetów „pieśnią pustyni zwane". Nie mam tak tkliwej i uczuciowej duszy poety, ni jego tak wrażliwego ucha muzykalnego, bym mógł pochwycić owe melodje lub tony śpiewu pustyni, lecz słyszałem wielokrotnie i zrozumiałem ten odwieczny, cichy szmer piasków, wiecznie ruchomych, ciągle osuwających się z grzbietów ostrych, wysokich barhanów (zarp), wsłuchiwałem się często w ten ich syk tajemniczy — widziałem i słyszałem nie pieśń, a szum i wycie huraganów, rospasanych sił walczących żywiołów z sobą i tam, gdzie wczoraj jeszcze stał wysoki, zębaty barhan, dziś po nim widnieje jama, a w godzin kilka jeszcze wyższy wyrasta na niej pagórek, z dymiącym się czarnym pyłem wierzchołkiem.

Pustynia nie śpi nigdy, cicha praca tam trwa odwiecznie i do końca wrzeć będzie zapewne. — Mangnansena idący w ariergardzie swej karawany z słabszym jej

składem, nadciągnął do obozu około północy dopiero. Był napadnięty przez lwa w drodze — stracił konia w walce z nim, czem obronił swoje życie i nie dał ściągnąć z woza mięsa antylopy, zabitej w pochodzie, a bardzo dla wyżywienia załogi potrzebnego. Nie ochłonąłem jeszcze z wrażenia opowiadania o lwie, przez strzelca, gdy straszny ryk lwa wstrząsnął nocną ciszą i postawił cały obóz na nogi. Musiał on krążyć blisko wokoło obozu, lecz brakło mu odwagi zbliżyć się w sferę światła rzęsiście płonących ognisk i rojących się koło nich ludzi uzbrojonych, trzymał nas jednak do białego dnia pod bronią i gotowych do walki.

Rano nie doliczałem się pociągowego wołu — resztki którego niedojedzone odnaleźli ludzie w niedalekiej dżungli. Po należnym wypoczynku i przygotowaniu wszystkiego do lwich polowań — zaordynowałem na dzień następny łowy. jeszcze na ciemnym firmamencie zaledwie mrugały gwiazdki, a srebrzysty księżyc jednym różkiem zdawał się dotykać ziemi, gdy otoczony przez Mursaya, Mangnansenę, Ihaonkę i dziesięciu czarnych, wyruszyłem na lwa, w bliskiej dżungli spodziewanego. Siedziałem na mej wierzchowej „Hasanie“, trzej zaś strzelcy na koniach, jeżeli te mizerne stworzenia tak nazwać było można, bo więcej one na szkielety muzealne, niż na wierzchowce wyglądały. Koń Mursaya był na jedno oko ślepy, Mongnanseny na wszystkie cztery nogi utykający, a Ihaonki narowisty i płochliwy. Reszta byli to pieszochody — cichołazy, uzbrojeni w dzidy, puklerze assagaje i karabiny jednostrzałowe — pochód zamykał jeździec na wierzchowym wole — wiozący wodę i dzikie melony „tijamnę“ zastępujące swym sokiem wodę. Przejeżdżając około wodopoi odkryliśmy zupełnie świeże odciski łap pary lwów, wyraźnie odbitych na miękkim piasku wilgotnym.

Ruszyliśmy za nimi w stronę niedalekich dżungli. W gęstwinie zarośli i na twardym gruncie ślady nam jednak znikły zupełnie. Długie poszukiwania w dżungli nie dawały rezultatów — próżno męczyliśmy konie i ludzi przez długi czas, aż w chwili gdy miałem zatrąbić na odwrót, spokojna i śmiała zawsze moja „Hasana“ zaczęła się niepokoić, strzyc uszami, aż chrapnęła przeraźliwie i rzuciła się w bok tak gwałtownie, iż o mało nie wysadziła mnie z siodła. W tej też chwili zaszeleściały zeschłe trawy przedemną i gęste poruszyły się krzewy. Nic jednak dostrzec nie mogłem, dopiero jadący ze mną Mussay wskazał mi na dalekiej polanie uchodzącą lwicę.

(C. d. n.)

Korespondencja

Lisowice, dnia 29. X. 1926.

Mimo bardzo szczupłej ilości dzików, które dla kompletnego braku żeru w inne przyniosły się strony, wobec ubicia niedźwiedzia a także codziennej możliwości spotkania z dwoma innemi, które przez cały czas polowań kręciły się po kniei; wobec trzech żbików strzelanych i jak na tutejsze stosunki dość znacznej ilości drobnej zwierzyny; tegoroczne jesienne nasze łowy wybijają się na pierwsze miejsce i złotemi głoskami na kartach naszych kronik zapisane być winne.

Na 9-cio dniowych jesiennych łowach ubito: niedźwiedzi 1, żbików 2, dzików 2, lisów 33, rogaczy 1, zajęcy 34, jarząbków 16, słonek 43, jastrzębi 2, sów 6. — Razem 140 sztuk na strzałów 418.

Juljusz Dunin-Borkowski.

Sprawy Towarzystwa

SPRAWOZDANIE

z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 12. październ. 1926 r.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski; obecni wiceprezesi: Cyryl Czarkowski - Golejewski, A. Mniszek i A. Sander; członkowie Wydziału: inż. K. Drapella, inż. A. Ebenberger, Dr. A. Małaczyński, E Münter, A. Ulm, i Dr. W. Ziembicki; zastępcy: St. Jaśkiewicz, Dr. Fr. Piechowski, Dr. J. Rosinkiewicz i Dr. I. Śnieszek. Nieobecność usprawiedliwili: W. Garapich i St. Pieńczykowski.

W poczet członków zostali przyjęci: Emil Jędrzejowski w Smorzu — powiat Skole, Jan Kühnel — Zamek, powiat Rawa ruska, Jan hr. Plater Zyberg — w Moszkowie, powiat Sokal, Jan hr. Siemieński — Zamek, powiat Rawa ruska, i Towarzystwo Łowiecko-Rybackie w Żydaczowie.

Sprawozdanie wiceprezesa Sandera, który reprezentował Prezydjum i Wydział Towarzystwa na zebraniu myśliwych powiatu rawskiego, na którem założono Rawskie Powiatowe Towarzystwo Łowieckie, przyjęto z żywem zadowoleniem do zatwierdzającej wiadomości.

* * *

Z wielu stron dochodzą nas głosy niezadowolenia z powodu żądania podpisania deklaracji, stwierdzających przynależność do M. T. Ł. Otóż wyjaśniamy, że żądanie to wydane dla porządku, nie może nikogo dotykać, a deklaracje takie podpisało całe Prezydjum i Wydział M.T.Ł.

Sprostowanie.

Sprostowujemy niniejszem omyłkę zaszłą w Nr. 10. „Łowca“, w sprawozdaniu ze sejmiku myśliwskiego powiatu rawskiego, a mianowicie, że członkiem honorowym założonego na tem zebraniu Rawskiego pow. Tow. Łow. mianowany został p. Kazimierz Marmaross, a nie p. Kazimierz Wysocki.

Na ołtarz św. Huberta w dalszym ciągu złożyli:

Łazarewicz Stanisław 8 zł; Wittig Bolesław 5 zł; Major Lisowski Roman 6 zł; Adamiak Władysław, zebrane na listę składek 7·50 zł; Brasławski Aleksander zł 4; Hr. Tarnowski Szczepan 25 zł; Ansion Kazimierz, zebrane za pudła na polowaniu w Skwarzawie 9. X. br. 7·50 zł; Stefanowicz Bogdan 1 zł; Baron Jan Konopka 18 zł; Stanisław Cieński 50 zł; Tadeusz Horoszkiewicz 9 zł.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Z „Drukarni Narodowej“, Lwów, ul. Szajnochy 2. Tel. 21-35.
Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.